Nr. 24 Rok

40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



POWSTAJE MELODIA...

[illegible] na papierze ręka Ryszarda Straussa, znanego kompozytora, który w dniu 11 czerwca br. kończy 80-ty rok życia. Na jego wspomnienie [illegible] w nas czasy neoromantyzmu i romantyzmu, których on był przedstawicielem. Z jego utworów muzycznych wymienić należy przede wszystkim [illegible] symfoniczne i opery „Guntram", „Salome", „Elektra", „Kawaler [illegible]".

Fot. Archiwum

TYGODNIK

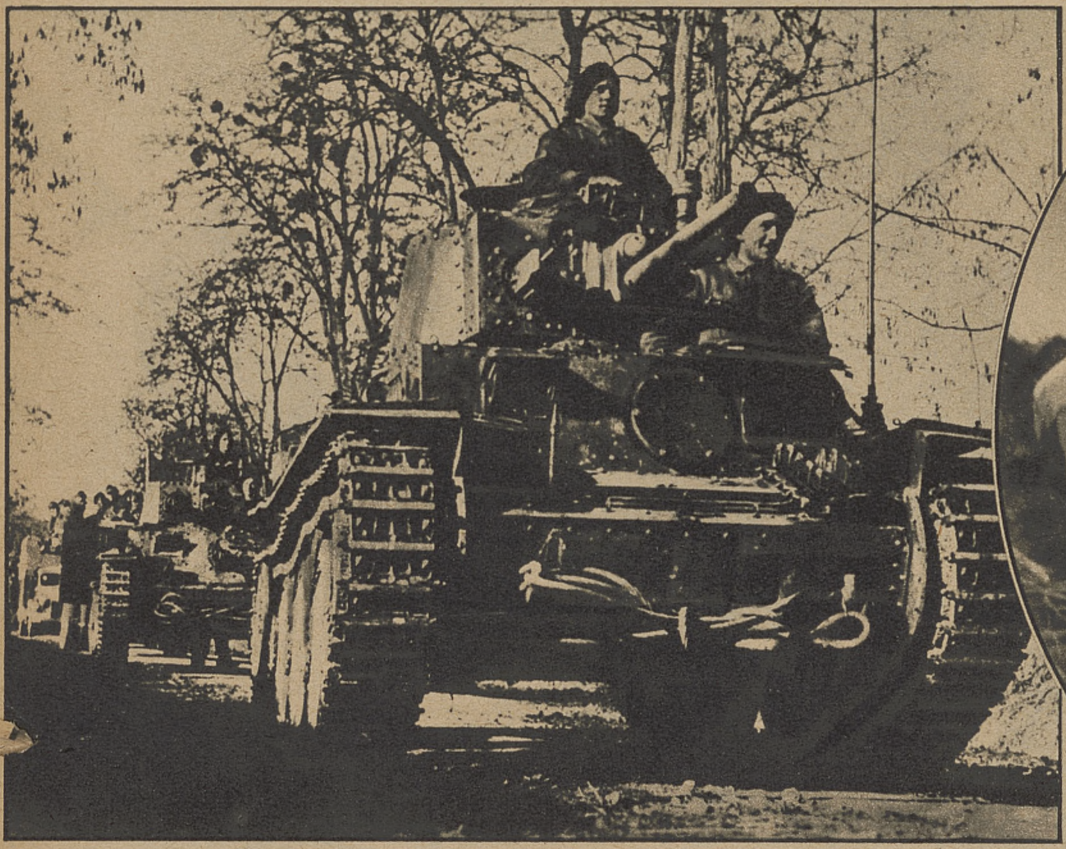
Na prawo:
PRZEWOŻENIE ZAOPATRZENIA DROGĄ WODNĄ
Żołnierze niemieccy wiozą, na czółnach ciągnionych przez łódź motorową, amunicję i żywność dla oddziałów walczących na środkowym odcinku frontu wschodniego.

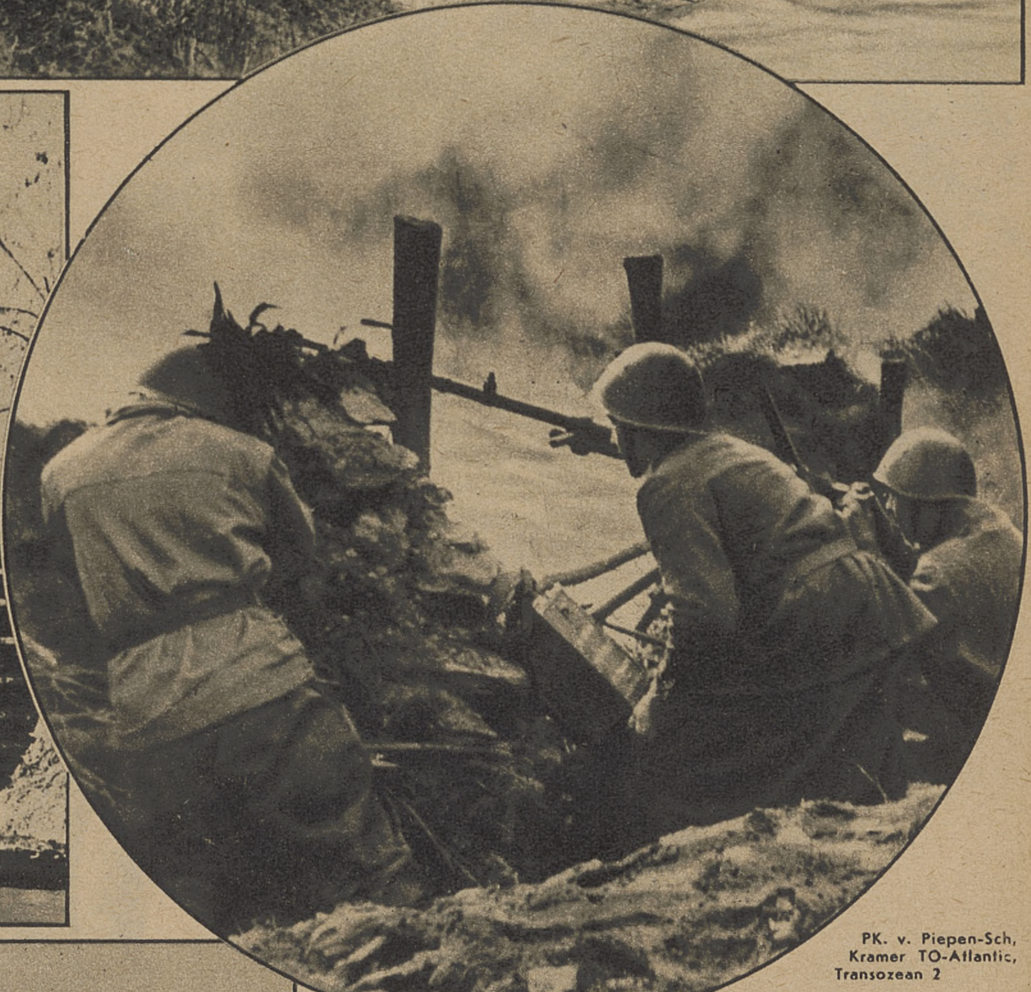


Powyżej:
DZIAŁA OBRONY PRZECIWLOTNICZEJ NA WOZACH KOLEJOWYCH
Niemieckie pociągi, transportujące wojska i zaopatrzenie na front wschodni są pod stałą ochroną dział przeciwlotniczych, wmontowanych w wozy.

Poniżej: **NA POŁUDNIOWYM ODCINKU FRONTU WSCHODNIEGO**
W długich szeregach jadą na front czołgi rumuńskiej armii. Są to lekkie, szybkie i bardzo zwrotne wozy, wyposażone w karabiny maszynowe i szybkostrzelne działa małego kalibru.

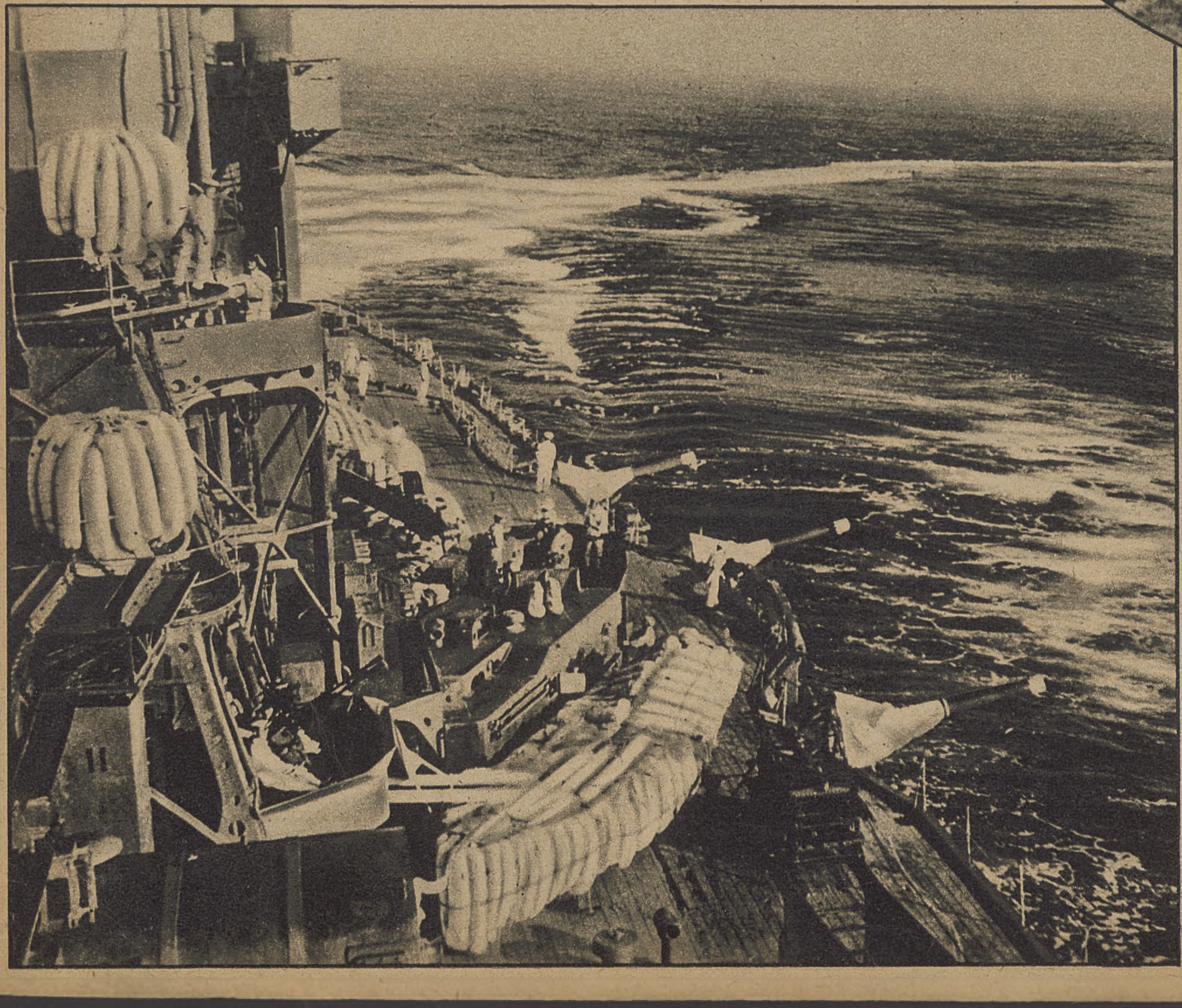


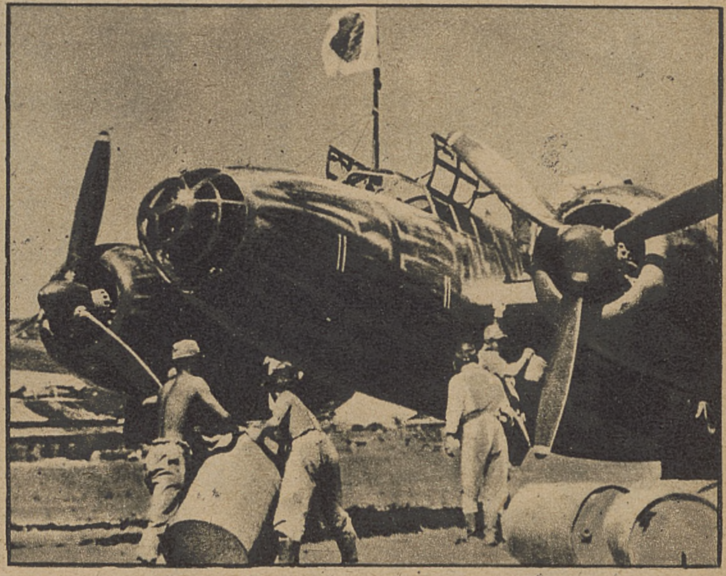




PK. v. Piepen-Sch, Kramer TO-Atlantic, Transozean 2

Z FRONTU WŁOSKIEGO
Chrzest ogniowy najmłodszych oddziałów włoskich bersalierów.





Na lewo:
NA PACYFIKU
Japoński okręt wojenny patroluje południowo zachodnie wody oceanu między wyspami polinezejskimi.

Powyżej:
W CHINACH
Ciężki japoński bombowiec przygotowuje się startu na wojska Czungkingu.

WOJENNY

Bicz życia



Dzieci syfilitycznych matek przychodzą na świat chore lub nieżywe.



Szczególnie ciężko dotknięty bywa system nerwowy. Dochodzi do zmiękczenia mózgu lub nawet dopiero po latach do porażenia postępowego lub wiądu rdzenia kręgowego (tabes dorsalis).

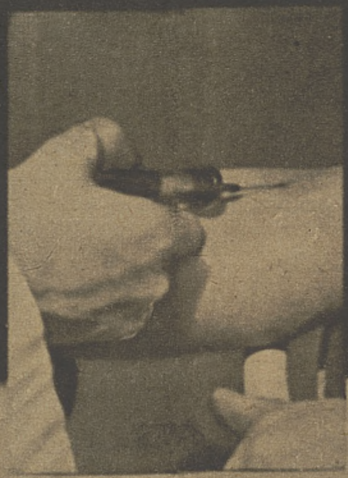
Wystawa uświadamiająca w Krakowie



körperliche Untersuchung
Badanie kliniczne



Mikroskopische Untersuchung
Analiza mikroskopowa



Blutprobe
Analiza krwi



Einspritzung in die Ader
Zastrzyki dożylne

Przy natychmiastowym zajęciu się chorobą, kiła jest łatwo i całkowicie uleczalna za pomocą zastrzyków. Gdy się później zająć leczeniem, kiła wymaga przewlekłej kuracji. Dlatego przy najlżejszym podejrzeniu zarażenia się należy natychmiast udać się do lekarza. Dzięki udaniu się pod opiekę lekarską w porę zapobiega się również najskuteczniej niebezpieczeństwu rozprzestrzeniania się tej zaraźliwej choroby.

Wielka wystawa zorganizowana w górnych salach Sukiennic pod nazwą „Bicz życia" unaocznia w sposób lapidarny i niezwykle trafny, przy pomocy odpowiednich rycin, tablic, rysunków i odlewów gipsowych — trzy zasadnicze choroby weneryczne oraz ich skutki. Choroby te są bardzo niebezpieczne z tego względu, że nie tylko wyniszczają organizm zakażonego, lecz także przenoszą się na jego potomstwo i zarażają osoby, które tylko przypadkiem zetknęły się z chorym wenerycznie, unieszczęśliwiając tych ludzi na całe życie. Dzięki postępom nowoczesnej medycyny choroby weneryczne są dziś uleczalne, o ile dość wcześnie rozpocznie się ich leczenie. Wystawa opracowała wszystkie te zagadnienia w bardzo poglądowy sposób, a instruktorzy udzielają zwiedzającym wyczerpujących objaśnień.

DYSKRETNA REJESTRACJA

Już w razie podejrzenia zarażenia udaj się natychmiast do godnego zaufania lekarza i bez obawy wymień mu również swego partnera lub partnerkę. W myśl nowych ustaw chory, będący w leczeniu, z nazwiska znany jest wyłącznie swemu lekarzowi. Dalsza rejestracja w celu zapewnienia wyleczenia, odbywa się za pośrednictwem Stacyj Opieki już tylko anonimowo przy użyciu liczby rozpoznawczej.





Zdrowie jest najcenniejszym dobrem ziemskim.

Nie należy zapominać nigdy o tym, że „zdrowie jest najcenniejszym skarbem ziemskim". Od najlepszego nawet leczenia o wiele rozsądniejszym jest wczesne zapobieganie chorobom przez mądre, ostrożne unikanie niebezpieczeństwa. Ze względu na intymny charakter tych chorób, zakażeni mogą być leczeni w Ubezpieczalniach Społecznych bezpłatnie i anonimowo.

Fot: Transozean 6, Borek 1

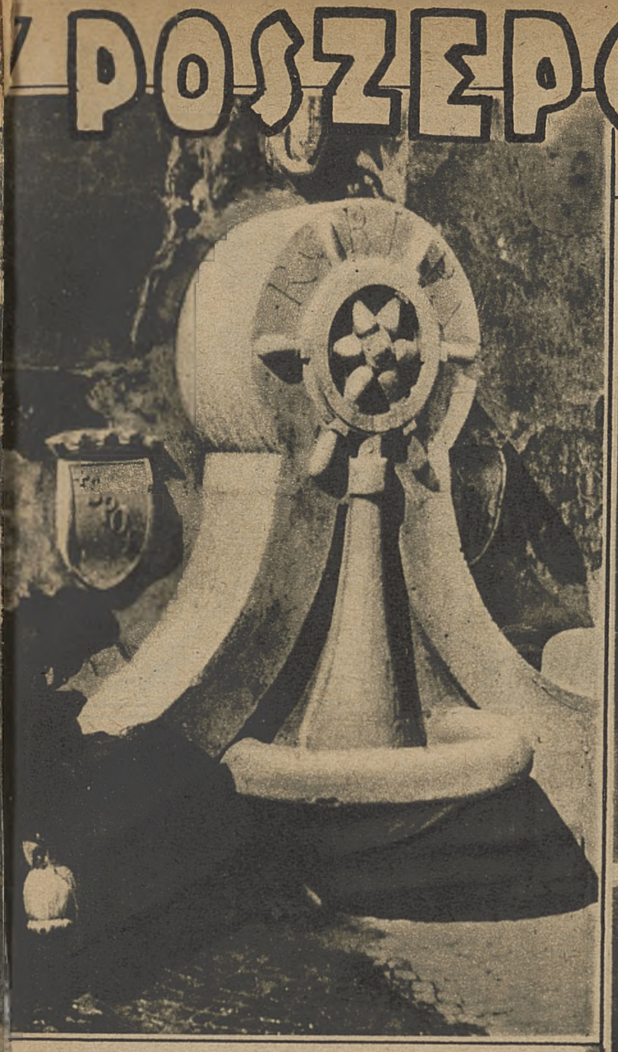
W POSZEPCIE STUDZIEN ITALII



Na prawo:
SŁAWNA STUDNIA AVENTYNU
Głowa rozgniewanego starca, sącząca z otwartych ust wodę, arcyciekawa kamienna rzeźba studzienna na Aventynie w Rzymie. Ileż wyrazu w całości fizjognomii potrafił wykuć z kamienia mistrz rzeźbiarz...

Obok:
STUDNIA W DZIELNICY „RIPA"
Coś z kształtu zegaru kominkowego ma w sobie ta stara studnia rzymska w Trastevere. W promieniach słońca wygląda też jak koło sternicze na pokładzie statku.

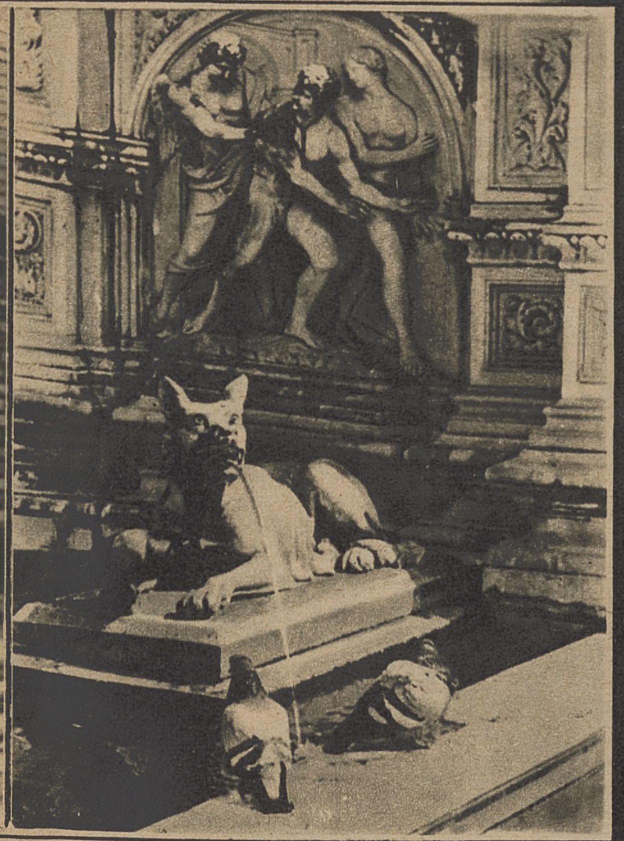




Na prawo:
A OTO CAŁOŚĆ:
Studnia z muszlami obok kościoła św. Marka wznosi się malowniczo wśród otoczenia starych kamienic o wąskich oknach, często „zdobnych" w kraty i pamiętających dawne czasy...

Obok:
STUDNIA-SFINKS PANTEONU
Z dawno wybitych godzin XVIII wieku spogląda kamiennymi oczyma klasycznie pięknych rysów twarzy studzienna głowa w cieniu Panteonu Romy... Majestat mijającego Czasu osiadł na wodzie basenu... Ponad rozpryskiem sączącej się strugi snują się dzieje Wiecznego Miasta...





Na lewo:
NIBY W DZIWNEJ BAJCE...
Wysoko w niebo bije fontanna rzymskiej studni na placu św. Piotra... Z daleka czyni wrażenie kolosalnego grzyba z baśni słyszanej za dni dzieciństwa.

Pośród zabytków włoskiej sztuki, wśród cudów malowideł, rzeźb, czy architektury — warto zwrócić szczególniejszą uwagę na liczne studnie-fontanny italskiej ziemi, pięknem swoim dodające tyle uroku czarowi miast Apeninu...

Prawda, nie tylko we Włoszech napotkać można owe cacka architektoniczno-dekoracyjne, ale śmiało natomiast można twierdzić, iż równie wielkiej ich liczby nie znajdzie nikt nigdzie, przynajmniej w Europie. Chodzi tu niemal zawsze o kombinację właściwej studni, to jest zbiornika zasilonego wodą bieżącą, specjalnie doprowadzaną do danego miejsca lub bijącą z głębi ziemi, z urządzeniem wodotryskowym — działającym albo na zasadzie znanego prawa fizycznego o „naczyniach połączonych" albo skutkiem sztucznego ciśnienia.

Starożytność przekazała wiele takich studzień nowe erze, a artyści rzeźbiarze i architekci znaleźli w tej dziedzinie rozległe pole dla swej twórczości. Okres Odrodzenia i Baroku rozmiłował się szczególnie w ozdobnych, ba, mistrzowsko wykonanych studniach-fontannach, a nazwiska wielu sławnych rzeźbiarzy i budowniczych zostały związane z takimi arcydziełami wykwintnego smaku i polotu twórczego. Nie szukajmy daleko za przykładami bądź oryginalnych, bądź pięknych studzien w Italii. Są one tam na każdym prawie kroku. Przede wszystkim więc Rzym! Na Forum Mussoliniego wspaniała fontanna-basen delle sfera (kulista), fontanna barokowa Salvi'ego (1735—1762), najśliczniejszy zabytek tego okresu, dalej studnia-fontanna Bertini'ego, fontanna z trytonem itd. Z wielu bardzo słynnych studzien poza Rzymem wymienić wypada basen studzienny-urnę w klasztorze O.O. Kapucynów koło Turynu, studnię w stylu XVIII w. obok pochyłej wieży w Pizie, ciężką w motywie studnię „uskrzydlonych lwów" z XII stulecia, czasy Maurów na myśl wiodącą, w mieście Amalfi nad zatoką Salerneńską,—studnię z Neptunem we Florencji, studnie-baseny i studnie fontanny w wielu, wielu miejscowościach ziemi włoskiej, tak bogatej w zabytki sztuki wszelkich dziedzin.

Fan-Kra.

Poniżej: **CZYŻBY TWÓR EPOK MINIONYCH!**
Nie jest to skamieniałość bestii przedpotopowej — lecz fragment studni muszlowej obok kościoła św. Marka w Rzymie.





Na lewo:
W BEZRUCHU WĘŻOWYCH SKRĘTÓW...
...pochyla się nad zbiornikiem dziwaczna postać boga morskiego, studni we Florencji. Wyraz twarzy zapewne nie budzi zachwytów... Całość oryginalna i dziwaczna, jak gadki o morskich wężach i potworach, zmusza do zatrzymania się przed studnią.

Poniżej:
SŁAWNA „FONTE FACA"
Na placu Campo di Siena dłuto rzeźbiarza zaklęto w kształt zwierzęcy studnię-basen. Ale nawet gołąbki nie lękają się kłów drapieżnego zwierza, odpoczywając w chłodzie i szmerze spadającej z jego paszczy strugi.



Fot: Witzleben i Peters

Również i sztuka stosowana (wyszywanie na płótnie, suknie i tiulu) znajduje zwolenników wśród młodych artystów. Oto jedna z wymienionych robótek, wykonana wprost na materiale.

Fot. Eurofot



Dziecko artysta



Na prawo: Młoda para rzeźbiarzy nad wykończeniem swojego modelu. Zaczęli od wygniatania figur z plasteliny i gliny.

Dzieci lubią rysować. Jest to zjawisko, z którym rodzice nie mogą dojść do ładu. Chcieliby, aby zdolności rysunkowe, zaobserwowane u dzieci, rozwinąć i na „właściwe" tory naprowadzić. Wysilają się, aby dać im dobre wzory poprawnego rysowania, zakupują gotowe wzorki do malowania i . . . dochodzą do przekonania, że ich dzieci nie mają pojęcia o rysowaniu. Dlaczego? Otóż błąd rodziców tkwi w tym, że chcą dzieci zmusić do rysowania na wzór starszych. Nie zdają sobie sprawy z tego, że dzieci mają swój świat i swój kąt widzenia i przedstawienia rzeczy widzianych. Dzieci nie mają i nie mogą mieć pojęcia o perspektywie, proporcji i kolorach. Nie wszystkie szczegóły u zaobserwowanego przedmiotu lub osoby są dostępne dla ich pojęcia w pewnym okresie życia. Dziecko np. narysuje postać człowieka z głową, obydwu rękami i nogami, a bez szyi. Albo nie umie rysować z profilu człowieka, a natomiast zwierzę przedstawi tylko z profilu. Jest to właściwy sposób obserwowania u dzieci, to też na nic się zdają wysiłki rodziców i nauczycieli skłonić dzieci i nauczyć rysować je postaci ludzkie z profilu, a zwierzęta en face, albo perspektywicznie przedstawić gromadę ludzką lub krajobraz. U dziecka zawsze postacie występujące w gromadzie będą miały widoczne wszystkie części ciała, a zmniejszanie postaci w perspektywicznym ujęciu jest niemożliwe w wieku dziecięcym. Dziecko jest skończonym tworem w swoim okresie rozwojowym, a nie małym, niedokończonym obrazem człowieka dorosłego. Tak też trzeba traktować jego wysiłki artystyczne. Nowoczesna pedagogika, oparta na znajomości psychiki dziecka, znając okresy rozwojowe dziecka, dostosowuje do nich materiał nauczania i sposób uczenia także w dziedzinie rysowania. Nie zmusza dzieci do naśladowania starszych, ale pozostawia swobodę tworzenia według własnych pojęć. Charakterystyczne jest także dla dzieci ujmowanie całości przedmiotów, a nie fragmentów. Dziecko staje przed wystawą sklepu z pończoszkami i ze zdziwieniem mówi: „mamusiu, tu są tylko nogi, a nie ma pani!" Albo patrząc na portret swego ojca „en trois quarte" dziwi się: „tatuś ma tutaj tylko jedno ucho!" Poszczególne stadia rozwoju rysownictwa u dzieci odpowiadają rozwojowi ludzkości na przestrzeni tysiącleci. To co przeżywa dziecko w okresie kilku lat rozkłada się na tysiące lat w rozwoju gatunku ludzkiego. Te uwagi, które absolutnie nie wyczerpują całości zagadnienia rysowania u dzieci, nasuwają się przy oglądaniu ilustracyj, które zamieszczone są w dzisiejszym numerze. Rysunki te wykonały dzieci wiedeńskiego zakładu wychowawczego, założonego przez prof. Cizek'a, który ma na celu nie uczenie rysunku, ale wydobycie z dzieci ich własnej inwencji twórczej bez wpływu starszych, tylko na podstawie ich własnych przeżyć. Dzieci te nie tylko rysują i malują, ale także rzeźbią i wyszywają na tkaninie wzory własnego pomysłu, bynajmniej nie dla celów użytkowych i nie dla przysposobienia się do przyszłego zawodu.





Poniżej: Wszystkie te bazgraniny, które codzień spotykamy na chodnikach, murach, papierach i książkach dowodzą, że wrodzoną potrzebą dziecka jest wyładowanie swojej wyobraźni w rysunkach. Czy z niej zrodzą się zdolności w tym kierunku łatwo może poznać doświadczony obserwator.

Powyżej: Stylizowane przedstawienie trzody przez czternastoletnią dziewczynkę. Postacie i tło malowane są w błyszczących kolorach temperą tak, że oryginał przypomina piękny gobelin.



Na prawo: Tak wyobraża sobie mały Jaś ruch uliczny w mieście. Nie zapomniał o najdrobniejszym kamyku brukowym. Wiedział też, że tramwaje jeżdżą prostopadle do ulicy, więc rysując podniósł papier prostopadle przed siebie.

AWANS PANA SKOWRONKA

PIOTR KORWIN

— Panie Skowronek! Panie Skowronek, do pana szefa — zaskrzeczał, ukazując w złośliwym uśmiechu rząd spróchniałych zębów kierownik biura, wytknąwszy rudą głowę zza przymkniętych drzwi do mrocznej sali administracji ogólnej.

Na tę wesołą nowinę, gdzieś spod okna, zabarykadowany stosem aktów i ksiąg różnego rodzaju, dźwignął się od biurka szczupły brunet o melancholijnym spojrzeniu i mruknąwszy pod adresem obydwu przełożonych jakiś epitet, z kwaśną miną ruszył ku oszklonym drzwiom, za których czarnymi literami widniał napis „Dyrekcja".

Widocznie wezwanie pana Skowronka na poufną rozmowę poprawiło wybitnie humor obecnym, bo momentalnie zaszemrały szepty i stłumione chichoty.

Pan dyrektor Grosik, korpulentny właściciel „Towarzystwa Ubezpieczeń od nieprzewidzianych wypadków", siedział teraz rozparty w fotelu i bębniąc pulchnymi palcami w biurko, wpił przenikliwe spojrzenie w pana Skowronka.

Pan Stanisław już oczekiwał zwykłego kazania, zaczynającego się od słów: — Panie Skowronek, tak dłużej stanowczo być nie może... — gdy chmurne dotąd czoło szefa rozpogodziło się, a na okrągłym obliczu, przypominającym księżyc w pełni, ukazał się dobrotliwy uśmiech:

— Panie Skowronek! Wie pan chyba o tym, że uważam pana za najinteligentniejszego z moich pracowników i zamierzam panu... — głos jego brzmiał obiecująco...

Korowód radosnych myśli zawirował pod czaszką pana Stanisława. Podwyżka, może awans — błogi uśmiech zażenowania opromienił mu myślącą twarz.

— Ależ Panie Dyrektorze... Pan Dyrektor naprawdę łaskaw, ale...

— Tu nie ma żadnego ale, mój panie. Wiem co robię, kiedy panu zaufałem i postanowiłem powierzyć sprawę do której nikt inny się nie nadaje, a która dziś wieczór musi być załatwiona.

Skowronek poczuł lekki zawrót głowy, jak po zejściu z karuzeli, lecz szybko się opanował i zaczął z desperacją:

— Pan dyrektor zechce uwzględnić, że to już trzeci dzień w tygodniu, kiedy poza godzinami służbowymi jestem zatrudniony. Tym bardziej, że cały dzień człowiek zapracowany...

— No, no, — pokręcił głową niecierpliwie dyrektor — co do tej pracy o której pan mówi, to mamy już o tym ustaloną opinię — tu rzucił przeszywające spojrzenie, którego pan Skowronek tak nie lubiał. — Ale muszę też panu nadmienić, że to co panu polecam, jest wcale przyjemne... Wcale przyjemne panie Skowronek...

— Słucham pana dyrektora — rzekł już całkiem zrezygnowany pan Stanisław.

— Otóż pójdzie pan teraz do domu, przebierze się wieczorowo i punktualnie o ósmej trzydzieści będzie pan w moim mieszkaniu. O ile mi wiadomo, pan umie prowadzić auto, — spytał.

Pan Skowronek skinął głową.

— Pojedzie więc pan z moją żoną do teatru. W tym celu daję panu do dyspozycji samochód, po który pan wstąpi do garażu. Tu ma pan klucz. A teraz — ciągnął dalej szef nie dając dojść do słowa wystraszonemu młodzieńcowi — o wszystkim żonę zawiadomię — tu chwycił za słuchawkę telefonu i z błyskawiczną szybkością nastawiwszy numer już zaczął.

— Właśnie moja droga tak się złożyło, że nie będę mógł wam towarzyszyć do teatru. Wiele pracy... Tak, wiele pracy. Ale gdy nic nie będziesz miała przeciwko temu, to przyszlę mojego urzędnika, bardzo miłego dżentelmena. Tak, tak... nawet bardzo — rzekł z uśmiechem, patrząc na pana Skowronka. — Ach! Dzisiaj pewno później wrócę, niż zwykle. Tak, osobiście... — tu mimo woli spojrzał na sekretarkę, którą cała ta rozmowa widocznie bardzo bawiła, bo patrząc z ukosa na pana Stanisława dusiła się od śmiechu.

— Sądzę — rzekł dyrektor odkładając słuchawkę, — że pana nie przechwaliłem. Zatem do widzenia... Ale, ale — zawołał do odchodzącego młodzieńca — jeszcze jedno. Niech pan nie pozwala żonie prowadzić samochodu. O wypadek nie trudno. Bardzo proszę. Dobrze? — poklepał go poufale po ramieniu. — A teraz jest pan wolny.

W jak najgorszym nastroju wybiegł pan Stanisław z gabinetu szefa, chwycił płaszcz i kapelusz, gdy starszy urzędnik pan Migawka, którego pan Skowronek serdecznie nienawidził, zastąpił mu drogę:

— Dokądże to lecisz Skowroneczku, moja ptaszyno — spytał.

— Do ciepłych krajów — odburknął pan Stanisław kierując się ku wyjściu.

— Patrzcie jaki dumny — zarechotał pan Migawka — rozmawiał z szefem, to już by jechał za granicę. Pokaż uszy gałganie...

— A może, zostanie kierownikiem po „rudzielcu". To byłaby dopiero „laba" — ktoś zawołał.

— Lepiej dla pana, że nie jestem — rzekł cierpko pan Skowronek.

— A dlaczegóż to — spytał kolega drwiąco.

— Bo wyleciałbyś pierwszy na zbity łeb! — rzekł ze złością pan Stanisław i już był za drzwiami, podczas gdy w biurze zawrzało jak w ulu.

— Ano diabli wzięli znowu wieczór — myślał rozgoryczony pan Stanisław. Ciekawym co to za monstrum ta pani Grosikowa, a raczej „dorobkiewiczowa". — Tu w wyobraźni ujrzał damę okazałej tuszy w „pewnym wieku", i jak przystało na dyrektorową odpowiednio obwieszoną brylantami.

— Tfu do licha, a to mnie ubrał. I trzeba jeszcze być uprzejmym, gruchać takiemu babsztylowi. Żeby to...!

— Jedna jest tylko okoliczność pocieszająca — spojrzał na zegarek — mam prawie trzy godziny czasu, więc można by skorzystać ze sposobności i zrobić sobie mały spacer dyrektorską limuzyną.

Oczywiście zabierze kogoś...

Poprawił mu się nieco humor. Jako zamiłowany kierowca amator, uważał jazdę samochodem nie tylko za przyjemność sportową najwyższej klasy, ale i za sporą dozę bon tonu czyniąc go bodaj przez chwilę podobnym tym wszystkim uprzywilejowanym przez fortunę, którym pan Skowronek w skrytości serca serdecznie zazdrościł, a których w miarę możności naśladował w przekonaniu, że ma wszelkie zadatki na milionera i tylko musi odczekać złą pasę, a na pewno los się odmieni. W jaki sposób to nastąpi sam nie wiedział, wierzył jednak święcie i często wśród bezsennych nocy marzył o świetnej przyszłości pełnej dostatku i przepychu. Nic dziwnego więc, że przy takich aspiracjach wyniki jego codziennej „działalności" w biurze były prawie niedostrzegalne dla oka zwykłego śmiertelnika. Wprawdzie bardziej krytycznie

spostrzegłby, że pan Skowronek jest skończonym lekkoduchem, niemniej jednak musiałby przyznać, że jest to chłopiec bardzo przystojny i miły, co zresztą niejednokrotnie stwierdzały kobiety między siedemnastą a czterdziestą siódmą wiosną, przy tym niezwykle elegancki, co znowu wprawiało w słuszne zdumienie kolegów znających jego mikroskopijną a nadmiernie obciążoną zaliczkami pensyjkę.

— — — — — — — — — — — —

W jakieś pół godziny, wyświeżony, w doskonale skrojonej ciemnej zarzutce, takim kapeluszu, tudzież w jedwabnym wytwornie związanym pod szyją szalu, przypominający jakiegoś gwiazdora filmowego, wszedł pan Stanisław w szeroką, jasno oświetloną bramę nad którą błyskał co chwilę czerwono napis „Garaże". Wyjął kluczyki z kieszeni, otworzył odpowiednią przegrodę i ujrzał ogromnego „Steyera" o błyszczącej lustrzanej karoserii.

— Ładna bestia — mruknął — wprawiając w ruch potężny motor, którego głuchy łoskot odbijał się tysiącznym echem od betonowych ścian boksu. Ruszył lekko z miejsca, prześliznął się zręcznie przez niewielkie podwórko i już był na ulicy.

— Ej, żeby tak można popędzić na cały gaz — myślał dołączając się do długiej gąsienicy pojazdów, wlokącej się żółwim krokiem i przystającej prawie na każdym skrzyżowaniu ulic.

— Wyjechać tak za miasto i pędzić w dal ku zaczarowanym wstęgom zagranicznych autostrad. Lido, Ostenda, Biarritz...

Nazwy luksusowych miejscowości jak bajeczne meteory przebiegały mu przez głowę.

— I nie wracać, nie wracać... — powtarzał rytmicznie warkot motoru. Mimo woli nacisnął silniej akcelerator. Dyrektorska bestia jak rasowy a nerwowy rumak, szarpnęła gwałtownie i zanim się Staś zdążył zorientować, jednym susem dosięgnęła starą rozklekotaną taksówkę, która właśnie wypadła z przecznicy i na próżno usiłowała uciec przed lekkomyślnie pędzącą limuzyną. Rozległ się przeraźliwy pisk hamulców.

— Jak pan jedzie, do stu piorunów! — zaryczał kierowca gruchotu — nie widzisz pan, że policjant zatrzymał pojazdy?! Amatorska wysokość, psia krew...

— Ależ panie! Nic się przecież nie stało...

— Jakto nic?! — Taksówkarz już był przy panu Stanisławie. — A ta kraksa to co? hę? — wskazał mało widoczną rysę na mocno i tak sfatygowanej karoserii.

— A to dopiero uszkodzenie — roześmiał się Staś — może pan i tak do wyścigów stawać...

— Co? — wrzasnął szofer. — Ja panu dam wyścigi. Płać pan zaraz, albo wezwę policję. — Zanosiło się na poważną awanturę.

— A ja, dzięki panu nie mam ochoty tracić czasu — zadźwięczał energiczny głosik i prawie równocześnie wyskoczyła z taksówki młoda dama, która do tej pory z wielkim zainteresowaniem przyglądała się pięknej limuzynie i jej kierowcy, a której w pierwszej chwili pan Skowronek nie zauważył. Elegancki ciemny kostium opinał jej zgrabną figurę, a fantazyjnie przerzucony przez szyję ogromny srebrny lis, zasłaniał do połowy twarzyczkę pięknej pani.

— I za gościa mi pan zapłaci — krzyczał szofer.

Zrobiło się małe zbiegowisko. Pani w lisie szybko otworzyła torebkę, wyjęła jakiś banknot i wskazując limuzynę szepnęła mu kilka słów.

— Ależ proszę pani — zdumiony szofer zdjął czapkę...

— No tak jak powiedziałam. Dobrze? — roześmiała się.

Niemniej zdziwiony pan Skowronek, momentalnie odzyskał równowagę i szybko wyskoczył z auta.

— Pani pozwoli — rzekł kłaniając się — że ja, jako mimowolny sprawca tej niemiłej przygody, mam przede wszystkim coś do powiedzenia i nie mogę pozwolić...

— Zwykle robię, co uważam za stosowne — przerwała mu z uśmiechem. Poza tym nie lubię zbytnich sensacji — tu spojrzała na gapiów otaczających ich coraz ciaśniejszym kołem.

— Tym bardziej nie mogę pozwolić, by pani z mej winy szła dalej pieszo. Służę pani moim samochodem — otworzył drzwi limuzyny.

Nieznajoma chwilę się zawahała... Spojrzała ciekawie na pana Skowronka...

— Jeśli pan taki uprzejmy — zajęła miejsce koło kierowcy.

— Jest to co prawda nieco ekscentryczne, że przyjęłam pana zaproszenie — rzekła, oglądając szybko urządzenie wozu — ale...

— Och, proszę panią jest mi naprawdę miło — tu burknął pod nosem swoje nazwisko i ucałował wyciągniętą ku sobie atłasową, pachnącą rączkę.

Zauważył teraz, że przygodna znajoma ma cudowne jasne oczy tudzież wspaniałe, kasztanowate włosy. Słodki, wytworny zapach zagranicznych perfum mile go drażnił.

— Zatem przygoda i to dość niezwykła — przebiegło mu przez głowę.

— Uważam nawet za swój obowiązek... — ciągnął dalej pan Stanisław, bardzo kontent z siebie i z nowej znajomości.

— Przewieźć ofiarę niedoszłej katastrofy w bezpieczne miejsce — przerwała mu z uśmiechem. — Ale kierowca z pana dobry trzeba przyznać. Tylko trochę ryzykowny. Jeszcze chwila a z taksówki byłyby drzazgi. No i limuzyna nie wytrzymałaby takiego uderzenia. A szkoda byłoby tak pięknego wozu...

— Głupstwo o maszynę — rzekł Staś takim tonem jakby miał fabrykę samochodów.

— A to pana auto? — spytała przypatrując mu się ciekawie.

Pan Skowronek zmieszał się, ale tylko na chwilę.

— Naturalnie, że moje — skłamał bez namysłu — ale nie wiem czy go nie sprzedam. Trafia mi się bowiem doskonała turystyczna maszyna z kompresorem...

— Sądzę, że i ta ma wspaniałą szybkość. Zresztą ja na pana miejscu, tego wozu bym nie sprzedała — dodała z dziwnym uśmiechem.

Pan Stanisaław poczuł się trochę nieswojo.

— Co to ma znaczyć, u diabła — pomyślał. — Czyżby mnie znała?

— Wcale nie jest takie nadzwyczajne, jak się pani wydaje — rzekł — wykazuje bowiem — dodał — usterki... Ale pani pewno i tak tym się nie interesuje — szybko dodał widząc, że nieznajoma dusi się od śmiechu.

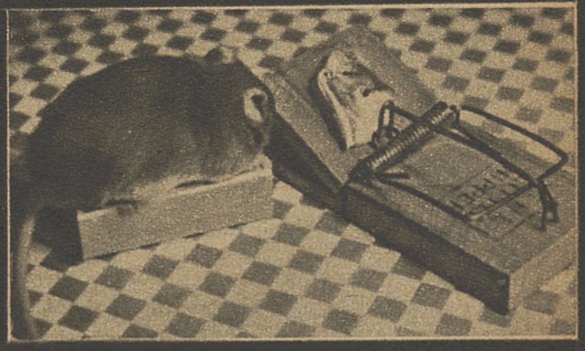
— Pewno, że nie... Ale, ale dokąd mnie pan wiezie — położyła rękę na kierownicy, widząc, że pan Stanisław ostrym łukiem skręcił w przecznicę i gna jak wicher w stronę alei. — A może ma pan zamiar mnie uprowadzić? To byłoby naprawdę romantyczne — wybuchnęła śmiechem.

— Nie wie pani czy tego nie uczynię — rzekł z ponurą miną.

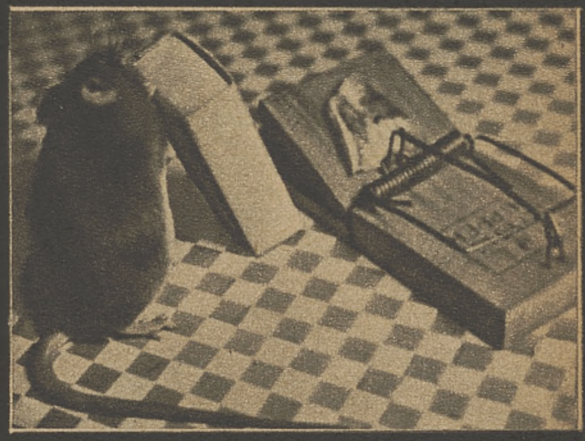
BAJKA O MĄDREJ MYSZCE



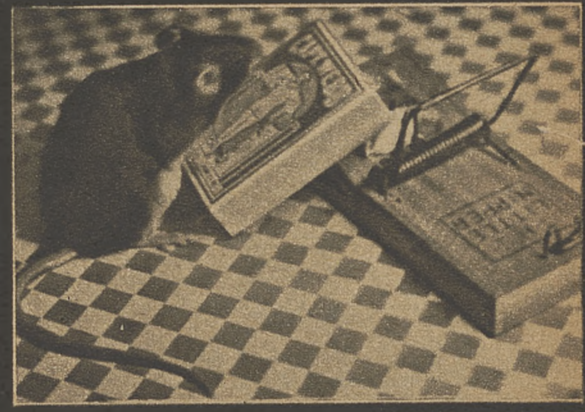
Ledwie zgasł za oknem dzień,
ledwie świat się w śnie pogrążył —
wybiegł mały, cichy cień...
i podłogą wokół krąży.
Wabi myszkę cudna woń:
— Ach! Słoninka, lub kiełbasa!
lecz nie ruszę, Boże broń,
znam ten podstęp, znam! rzecz jasna...



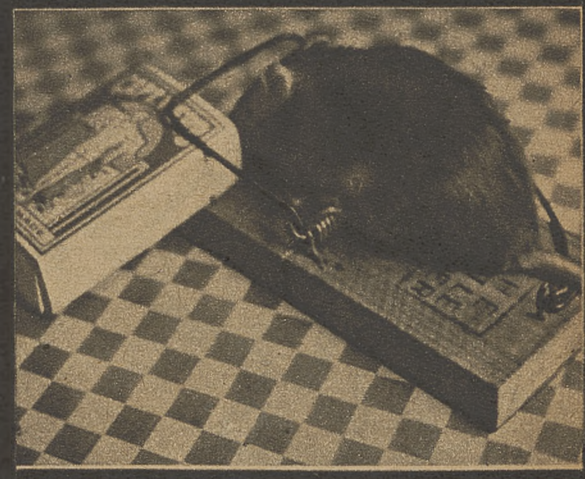
Na pudełku cichusieńko
siedzi — siedzi — — jak nieżywa.
Jeno myśli krążą prędko!
Lecz nim przyjdzie myśl szczęśliwa
hej — zmęczy się myszka dość,
aż jej w główce trzeszczy kość.......
Ale spełni się wśród ciszy
wielki pomysł małej myszy:



Zeskakuje szybko, zwinnie,
i pudełko w łapki chwyta.
By podźwignąć taką „skrzynię"
trzeba mocnym być, jak Tytan...
lecz się myszka zbroi szczerze!
trud opłaci się sowicie:
będzie można z j e ś ć wieczerzę
zamiast za nią — oddać życie!



...Leci ciężar, pchnięty nosem!
Strzela zatrzask sprężynowy!!
To pułapka strasznym głosem
domaga się mysiej głowy —
ale sprytna myszka mała
dobrze głowy pilnowała.
Oto jest pomysłu treść:
teraz będzie można j e ś ć ! ! !



Siada myszka pogardliwie
na pułapce... nieszkodliwej!
i zajada, piszcząc tak:
— Cóż za zapach!! co za smak!!...
Dobry przykład dla człowieka,
że cierpliwość działa cuda:
— Bądź ostrożny! Myśl! I — czekaj!!
a wszystko się w życiu uda!

Fot. E. Witzleben   Tekst M. A. Hessel

— Kpi, ze mnie oczywiście — pomyślał z pasją.

— O, wcale się nie boję — rzekła przekornie. — Ale prawdę mówiąc wolałabym, by mnie pan odwiózł do kawiarni, gdzie miałam się spotkać z przyjaciółką.

— Jak pani sobie życzy.

Gwałtownie zatrzymał samochód.

— Do której kawiarni?

— O widzę, że się pan rozgniewał i zaraz chciałby się mnie pozbyć. A to ładnie!

— Ależ proszę panią...

— Żadne ale — przerwała — taksówkę mi pan uszkodził, uwiózł daleko za miasto i teraz jeszcze się dąsa. Proszę zaraz się rozchmurzyć! Czy pan słyszał? — tupnęła nogą.

Pod nawałą tych niespodziewanych a ważkich argumentów Staś był już rozbrojony:

— Proszę wybaczyć... Nie ośmieliłbym się sprawić pani przykrości...

— Zatem zgoda. Prawda? — wyciągnęła rękę. — A na jej przypieczętowanie jedziemy razem do kawiarni. Więc do „Trokadero" — wymieniła elegancką nocną kawiarnię.

Zatrzymał samochód przed rzęsiście oświetlonym lokalem i spojrzał zezem na zegarek. Było dwadzieścia minut po siódmej.

— Zdążę jeszcze — pomyślał.

Ale przygodna znajoma widocznie spostrzegła, nagłą zmianę w usposobieniu pana Skowronka, bo przechylając wdzięcznie główkę uśmiechnęła się filuternie:

— Niech pan nie robi takiej ponurej miny, bo gotowam znowu pomyśleć, że pan niezadowolony z naszej eskapady. Musiałam panu naprawdę pokrzyżować plany, kiedy takie wyrzuty pan sobie czyni...

— Właśnie, że pani jest w błędzie — rzekł pan Stanisław — a na dowód tego idziemy tańczyć jak długo pani zechce — roześmiał się trochę grobowo.

Ogromny drab w czerwonym suto złoconym uniformie, zdjął szybko palto z pana Skowronka i otwarłszy wahadłowe drzwi baru zgiął się w dwornym ukłonie. W pierwszej chwili nic nie można było rozeznać, bo w lokalu panował półmrok, tylko gdzieś ze stropu sączyło się skąpe światło reflektora, otulając stłoczone pary tańczących fjoletową mgławicą. Jak spod ziemi, wyrosła przed nimi wytworna postać kierownika sali:

— Państwo życzą sobie stolik na dwie osoby, prawda? — spytał. — O tam właśnie jest bardzo wygodne miejsce — wskazał w kąciku zaciszną lożę.

Staś chwilę wzlekał, niby rozglądał się po sali, a właściwie błyskawicznie w myśli, tudzież poomacku w kieszeni, obliczał posiadaną gotówkę, gdy pani skinęła główką wyczekującemu kierownikowi:

— Dziękujemy panu, naprawdę to miejsce bardzo nam odpowiada.

Gdyby Staś nie ubolewał w tej chwili nad opłakanym stanem swej kasy, na pewno by zauważył, że jest przedmiotem obserwacji trzech młodych ludzi, którzy schyliwszy nisko głowy nad stolikiem, coś szeptali zawzięcie wskazując sobie oczyma pana Skowronka i jego piękną towarzyszkę.

Właśnie orkiestra skończyła tango, rozbłysły rażące światła i momentalnie prysnął poprzedni melancholijny nastrój Jedni tłocząc się w wąskim przejściu wracali do stolików, odprowadzając roześmiane i podniecone tańcem danserki, inni wśród wesołej wrzawy, oblęgali błyszczący rzędem pękatych butelek bar, sadowiąc się na wysokich a okrągłych stołeczkach.

Pulchniutki kelner nachylił się dyskretnie nad stolikiem

— Cocteil, — prawda? — spytał Staś.

— Dobrze. Chociaż nie chciałabym się upić. Mam jeszcze bowiem coś do załatwienia...

— Dzisiaj? — zdziwił się pan Stanisław. — Teraz jest już za późno. I jeśli mam być szczery, wolałbym by pani przyjaciółka z którą pani miała się spotkać, w ogóle nie przyszła.

— Rzeczywiście za późno — rozglądnęła się po sali. — Czyżby poszła do mnie do domu... A to wszystko przez pana...

— Nie ma złego co by na dobre nie wyszło — roześmiał się Staś. — Zatem, za naszą dzisiejszą przygodę — podniósł kieliszek.

— Której pan pewno się nie spodziewał.

— Słusznie. Nie przypuszczałem bowiem jadąc do teatru...

— Dokąd? — wybuchnęła śmiechem. A to doskonale...

— Dlaczego pani się śmieje?

Dokończenie w następnym numerze

Miłość czuwa...

M.A. HESSEL.

— — — gdzieś daleko, bardzo daleko, chociaż prawie tuż za oknami, szumi młoda zieleń! gdzieś wysoko, przeokropnie wysoko, jakby wyżej niż sam Bóg mieszka — wisi błękit czysty, bezchmurny, nieskażony! słońce jaskrawo rozkoszne — kiedy indziej, obecnie chyba złośliwie oślepiające, parzące w usta i w krew samą — wisi nad ziemią, jak dojrzałe czerwono-płowe jabłko nad świeżą murawą! Nic się nie zmieniło. Zupełnie nic! Jest tak, jak było, właściwie nawet o wiele ładniej, niż w ów dzień okropny, pochmurny i zimny choć kwietniowy — w którym Alicja dowiedziała się, że Sewer już nigdy nie wróci.

„Nigdy"... Straszne słowo. Równie straszne, jak słowo „zawsze". Bo Sewer odszedł na zawsze. Nie do uwierzenia, jak pusty i głuchy może stać się świat, gdy zabraknie na nim jednej tylko osoby, tej właśnie jednej osoby! Ta głusza i pustka objęły teraz Alicję. Wszystko zapadło się. Gdzie? Niewiadomo! Ale znikło! Nie ma! A przynajmniej nie liczy się! — — —

Z muzycznym pobrzękiem wpadła ruchliwa pszczółka przez otwarte szeroko okno i szuka czegoś na kliwii. Może kwiatu. Alicja patrzy na ulubiony owad poprzez olbrzymie jak rtęciowe kule, łzy. Bezmyślnie chodzą jej oczy za złocistym ciałkiem skrzydlatego gościa, bo cała jej jaźń, wszystka świadomość, są uparcie (ach! jak uparcie!) tam... nie wiadomo nawet dokładnie, gdzie...

— Nie wróci! — Przecież była na to przygotowana. Z dawna — starannie — i wciąż.— Jak wszyscy. Liczyła się z tym, brała to zawsze pod uwagę. A jednak gdy runął grom, nie spłynął po nastawionym czujnie gromochronie wiedzy i przewidywań, ale strzelił prosto w duszę, skręcił ją jak miedziany drut, zniszczył, spalił, spopielił. Trzeba być jak legendarny Fenix, by wstać z takich popiołów.

Jakie były ostatnie chwile jego życia?

Choć byli zaręczeni, los tak ich rozrzucił, że długo, bardzo długo nie widzieli, nie pisywali do siebie, bo nie mogli, nieświadomi nawet swych adresów. Los cisnął Sewerem, jak liściem, w świat daleki i wrogi; Alicja została sama. Ostatnią wieść o nim przyniosła jej ich wspólna znajoma, zaprzyjaźniona szczególnie z rodziną Sewera. Spotkali się przypadkowo — świat jest mały. Sewer, ujrzawszy ją, skoczył ku niej i chwycił ją za przeguby obu rąk:

— Co z Alicją? żyje? Zdrowa??

— Zdaje się, że tak...

— A jak żyje? W jakich warunkach? Jak sobie daje radę? Czy nie można by jej coś pomóc?

— Masz fundusze... Próbuj! Ale — przecież... ona... nie przyjmie!

Tej rozmowy dowiedziała się Alicja w rok po jej zaistnieniu. Całą jej duszę przepalał straszny żal, że nie dano jej znać wcześniej, gdy jeszcze można było dostać się do niego, zostać z nim — na każdą dolę. Gdy jej powiedziano — pół roku temu — było już za późno. Ali dzień i noc myślała o tej rozmowie, pojąc swą duszę obolałą i tęskniącą, najdroższą słodyczą słów Sewera: „Jak żyje? Czy nie można by jej coś pomóc?...".

Czemuż nie można być teraz koło niego i całować jego zimne już stopy za przecudny ciężar tych słów, za tę troskę najmilszą! Nie o to przecież chodziło, że chciał dać! byłaby przecież istotnie nie przyjęła, ale o to że myślał, że się troszczył... że pamiętał... Ileż bezgranicznej miłości było w tej trosce i w tej chęci, miłości, która — czuwa! Od początku świata taki właśnie odruch jest pierwszym odruchem mężczyzny w odniesieniu do wybranej kobiety. To nie jest ani chęć kupienia jej, ani „głupota", jak twierdzą niektórzy. Jest to prainstynkt, stary jak pierwotne lasy. Osłonić ją! Żywić ją! Usunąć od niej troski, niewygody i trudy, a dać jej byt, dać — wszystko! Tak właśnie czuwa prawdziwa miłość. Tego prainstynktu nigdy nie zabije w mężczyźnie równouprawnienie kobiet, ich samodzielność, która jest problematyczna i w dodatku bezwartościowa w objektywie szczęścia osobistego. Siła kobiety leży w sile mężczyzny, który ją osłania.

Prawdziwie kochający mężczyzna będzie pragnął zawsze dać kobiecie wszystkie prawa i przywileje i szacunkiem swym ukoronować ją, jak królową, przed całym światem.

— — — — — — — — —

Pszczoła uleciała ku wonnym krzewom za oknami i Alicja znowu jest sama. Sama z Sewerem. Jego pamięć i wtłoczone w mózg echo jego słów — nieśmiertelnych! — są przy niej wciąż. Ali cierpi każdym atomem duszy.

Ten chłopiec najmilszy był bogaty. Słabą i delikatną „Ali" chciał odgrodzić swym grubym portfelem — najlepszą osłoną — przed grozą życia, któremu sama nie potrafi się może przeciwstawić. Przecież mówił, że dla niego ona jest uosobieniem delikatności i prześlicznej kobiecej słabości. Zachwycał się nią, jak kosztownym klejnotem, który chciał oprawić doskonale. O tę siłę, o tę miłość która czuwa, o tę troskę super męską, Ali wsparła się jak o basztę. Baszta runęła — Alicja razem z nią.

A przecież niczego nie żal... niczego... tylko jego oczu aksamitnych i słów, które mówił, gdy był! — tylko wyrazu ust i oczu, który miał, gdy mówił do niej, lub patrzył na nią! Patrzył jak wierny cichy pies. I mówił tak niewiele! A tak wiele czuł... jakże strasznie wiele!!

Równie wiele teraz cierpi Alicja. Łamie się w męce — bo i jej winy trochę, och, tak! Bo chwilami była bezlitosna i raniła to serce, które wszystką krew miało tylko dla niej. Naprawiła błąd; najwidoczniej, skoro nie widząc ją prawie dwa lata zapytał o nią swym najpierwszym słowem i jej był uczynił przedmiotem swej najpierwszej troski.

Alicja czuje, że serce jej pęka. Tak boli... tak okropnie boli to, że już „nigdy"... że już — „zawsze"... A miłość czuwa. Powietrze drży długo ciepłem i ciepłe są wszystkie wokół przedmioty — choć już ognisko zgasło...

...bo oto list wpada do skrzynki pocztowej na drzwiach Alicji. List urzędowy, zwykły; jakiś adwokat w nagłówku. Ali nie zna go. Otwiera.

Serce bije — ciemnieje w oczach — schnie w gardle: — adwokat rodziny Sewera wzywa ją do siebie.

— Zapewne o jakieś wyjaśnienia, informacje... — przypuszcza Ali.

Ubrała śliczną błękitną sukienkę, uszytą na powitanie Sewera. Wdziała cieniutkie pajęczynowe pończoszki, pantofelki zgrabne i wciąż jeszcze ładne (...Sew tak je lubił!!)— Niech mają o nim dobre wyobrażenie! Że miał gust!... — oto bolesne pragnienie Ali.

Adwokat ukłonił się nisko, dziwnie nisko. Ciekawie błysnęły jego okulary, a blask szkieł załamał się na wysmukłych nogach Alicji, potem na jej włosach świetlistych, na tych włosach, które tak bardzo kochał jego klijent. Fachowo taksował dziewczynę, do głębi duszy ciekawy, jak zachowa się wobec faktu o którym dopiero miała się dowiedzieć. Rodzice Sewera prosili go natarczywie, by szczególną uwagę wytężył w tym kierunku. Mecenas uzbroił się w tysiąc oczu i uszu.

Alicja odkłoniła się lekko i zajęła wskazany jej fotel, obity skórą. Adwokat przeciągał moment decydujący, podał jej do wiadomości smutne szczegóły. Spokojna twarz młodej kobiety, coraz bardziej martwy wyraz ust, oczy coraz dalsze i coraz bardziej przymknięte, jakby kurczył je ból, nieco podniecały adwokata. Wreszcie sięgnął ręką jakby od niechcenia po leżące obok papiery i rzucił, pozornie niedbale:

— Narzeczony pani zostawił testament. Ostatnią wolą jego i życzeniem, wyrażonym pod adresem rodziców było, by przypadającą na niego część majątku sprzedano pani. Jako żądaną cenę nabycia oznaczył kwotę sto złotych. Jest to oczywiście suma fikcyjna. Służę pani! oto plany sytuacyjne, arkusze posiadłości gruntowej i księga hipoteczna. Czy życzy pani sobie to przejrzeć? Równocześnie otrzymałem potwierdzenie odbioru kwoty za ową trzypiętrową kamienicę, którą nabyła pani od syna mych klientów (adwokat patrzył gdzieś po ścianach i meblach) i przesłał do pani kontrakt kupna-sprzedaży, na mocy którego przeszła ta kamienica na pani własność. Zaniedbano tylko pewne formalności: musi pani podpisać się na wszystkich egzemplarzach. Jeden z nich jest dla pani. Poza tym wszystkie koszta notarialne, według życzenia pana...

Urwał nagle. Zaniepokoiła go blada jak papier twarz jego interlokutorki. Wpił przestraszone oczy w jej oczy otwarte szeroko. A w tych oczach jaśniały przebolesnie cudne i ogromne jak agresty, łzy. I padały coraz szybciej, coraz gęściej, na rozchylone zdumieniem i nieludzkim wprost wzruszeniem usta Alicji. Nagle upadła głową na biurko, kryjąc twarz w dłoniach. — Sewer! Sewer!... — jęczała przejmująco, w uniesieniu jakiegoś okropnego, makabrycznego szczęścia. Ale jeszcze potworniejszy był żal, że takie serce przestało bić dla niej.

Rozdzierał ją szloch i ból. Świat zatopił się we mgle, oddalił, przepadł — przestał istnieć. Było tylko coś, co nie umiera, choć umiera serce, w którym to „coś" mieszkało.

Adwokat delikatnie położył ręce na rozszlochanych ramionach.

— Ciiicho! Cicho! Niech się pani uspokoi! To nie pomoże!

Uniosła głowę, uśmiechnęła się, zażenowana.

— Przyrzekł to wszystko pani, więc dotrzymał! Czyż pani nie rada? — żartował prawnik.

— Och! panie mecenasie! wolałabym posiąść to dziedzictwo razem z nim!

— Wierzę pani! Ale nie objął swego życzenia żadną klauzulą. Dysponuje pani bez ograniczenia swoją osobistą własnością. Jedynie to zakreślił, że w razie bezpotomnej śmierci pani, te dobra wszystkie przejdą na dzieci jego jedynej siostry. Rodzice narzeczonego pani kochali tego syna nad wszystko. Wola jego jest dla nich święta. Zechce więc pani przeprowadzić za moim pośrednictwem te transakcje, bym mógł dokumenty przesłać do notariusza i zawiadomić moich klientów.

„...jak żyje... czy nie można by jej coś pomóc... jak sobie daje radę..." — wspomnienie przebiegło przez mózg i serce, jak daleki szum pszczół.

Dawała sobie radę z wielkim trudem. Ale nigdy dotąd nie była głodna, chociaż nie było jej ani lżej, ani lepiej niż innym. Ostatnia wola Sewera przekreślała wszystkie troski, otwierała banki i... świat.

— Nie zamierzam sprzeciwiać się woli narzeczonego. Wypełnię ją. Kupuję ten majątek ziemski, względnie jego część, czy też połowę, jak pan mecenas twierdzi, — za owe sto złotych. Oczywiście, stać mnie na tyle! Złożę gotówką! Ale równie jak mój narzeczony stawiam warunek, od którego nie odstąpię: wszystko, razem z ową kamienicą, kupioną przeze mnie(!!) będą aż do śmierci użytkowali rodzice Sewera. Nie chcę i nie będę teraz korzystać z tych moich własności. To jest ich rodowe dziedzictwo, ich praca i owoc całego życia, starań i wysiłków — dla dzieci. Przecież Sewer przejął by swą połowę dopiero po zgonie rodziców! Jako legalna ich synowa nie wcześniej zostałabym właścicielką, najwyżej tylko miałabym prawo korzystania. Jeżeli... jeżeli... będzie mi... wyjątkowo źle... bez wyjścia... zwrócę się do nich! Proszę im to oznajmić!

— Jak pani sobie życzy. Nie mam pełnomocnictwa umniejszania czy ograniczania w czym kolwiek pani postanowień. Proszę zgłosić się do mnie łaskawie za jakiś miesiąc. Wszystko za ten czas zostanie przeprowadzone z odpowiednim notariuszem, sporządzi się kontrakt kupna-sprzedaży pomiędzy panią i obecnymi właścicielami, do których zwrócę się natychmiast. A chociaż pani taka zapłakana (szkoda oczek, proszę pani...) — najserdeczniej gratuluję!

— Czego, panie mecenasie? — przerwała z dziwnym i badawczym wyrazem oczu, patrząc wprost w jego migocące szkła.

Odczuł ją natychmiast i zrozumiał. Ta kobieta uderzała niepospolitą wprost kulturą umysłową, która narzucała się przemożnie.

...tego, że umiała pani być przedmiotem takiego uczucia! —

Jej drobna twarz rozjaśniła się i nieco powesełała. Spoglądała życzliwie swymi przenikliwymi oczyma w jego twarz, jakby speszoną. A gdy ucałował jej rękę z wyszukaną wprost galanterią, nagle zadrgało w niej wszystko wspomnieniem, jak to ostatni raz Sewer całował jej rękę. Spojrzała na swą dłoń — i delikatnie uwolniła ją z uścisku adwokackiej uprzejmej dłoni. Przez głowę przemknęła jej szybka myśl: — Sewer całował mnie w rękę, bo mnie kochał! A teraz ludzie będą mnie całować w rękę dlatego, że... Sew mnie kochał... Jak tanio można kupić szacunek ludzi: za kamienicę i majątek ziemski!! Czy za tę samą cenę kupi takie serce, jak tamto... Czy za taki majątek można kupić miłość, która — czuwa i wszystko daje, chociaż nic nie bierze... ?

Mecenas odprowadził ją aż do drzwi. W pokojach, przez które przechodzili, za stołami podnosili się mężczyźni, żegnający ją głębokim ukłonem. Szurgali nogami, co nie przeszkadzało im bynajmniej uważnie obserwować szczęśliwej — ich zdaniem — dziedziczki. Podczas rozmowy jej z adwokatem wszedł po podpis do gabinetu jeden z pomocników kancelaryjnych — i w mgnieniu oka rozeszła się po biurze wieść, że „ta pani, co przeszła", to narzeczona owego bogatego jak Krezus poszukiwacza przygód...

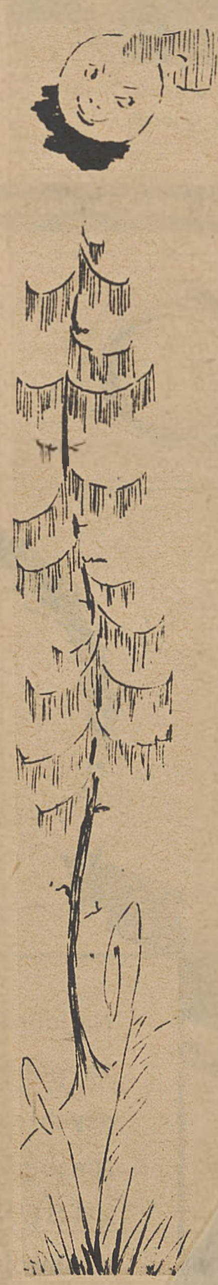
Cichy uśmieszek przewinął się przez usta Alicji, która czytała w twarzach, jak w książkach. Tym uśmieszkiem i lekkim skinieniem głowy zlikwidowała swą obecność w kancelarii adwokackiej.

Gdy wyszła na ulicę stanęła chwilę, jakby olśniona. Tam, w gabinecie, zapominało się, że na świecie jest zieleń i słońce. Zieleń... Ta nad wszystko ukochana zieleń, którą za grobu ofiarowywały jej kochające ręce, jej— swojej delikatnej, drobnej Ali...

Zaszumiały jej w uszach lipowe aleje, pod których cieniem gonił, jako dziecko. Zaszumiały jablonie i grusze, na które wspinał się, będąc wyrostkiem. Jeżeli wyjdzie zamąż i będzie mieć dziecko — jej dziecko będzie mogło też wspinać się po nich... Sewer tak zechciał! Bo gdyby żył, byłoby to ich dziecko...

Alicja patrzy i słucha. Szumi wokoło dużo, dużo drzew... Gdzieś na cmentarzach szumią tak samo drzewa nad grobami...

Mecz księżycowy



Tak mi wesoło! Tak radośnie!
Chce mi się krzyczeć, skakać, śmiać.
Księżyc na szczycie sosny rośnie,
Jak złota piłka. — Więc w nią grać! —

Wielki, kolisty stadion nieba
Gwiazd migotliwy ściele pył. —
Ściągam błyszczący football z drzewa
I grzmocę butem, ile sił! —

Toczy się, świeci, upadł w chmury.
Skaczę, uganiam, brak mi tchu.
Wreszcie dopadłem! — Więc go w górę!
W ciągłą gonitwę! W ciągły ruch!

Na opalowym nieboskłonie
Jak złota bramka: Wielki wóz.
Księżyc w przerzucie śmiałym płonie.
Już atakuję!... Strzelam!... Już!...

...W bok prysnął. Rozbił czyjeś okno.
Kogoś uderzył prosto w twarz.
Potem do stawu wpadł — przemoknął.
Odbił się, łukiem, ponad las.

...I nagle zniknął mi sprzed oczu.
W ciemną przełęczy jamę wpadł.
Zanim dobiegłem — już się stoczył
Za horyzontem linię. Out.



Aleksander Wilk

KONCERT OPEROWY FILHARMONII G. G.

„Halka" — Moniuszki! Jakże magnetyczne słowo na tle polskiej twórczości operowej! Kto ją bowiem z nas, chociaż raz, zwłaszcza w młodszych latach oglądał na scenie, temu pozostawiła napewno niezatarte wrażenie, nie tylko dobrego dramatu scenicznego, ale przede wszystkim wyrazu muzycznego, który akcję tak znakomicie podkreśla przez zmienność rytmiki, częstą a właściwą modulację tonacyjną, żywiołowość wybuchów dramatycznych, jak również smętek i liryczność części molowych.

Ale nie wszyscy potrafią się tak wczuwać w melodyjność tej swojskiej opery, w jej bogatą inwencję aryj, w barwną instrumentację, w werwę jej muzyki tanecznej, w której przebija zamaszystość poloneza, buńczuczność i polot mazura, elastyczność tańców góralskich — słowem — nawskroś polski jej temperament i charakter — jak właśnie tylko my.

Toteż niedzielny koncert operowy, na którym wykonano wyjątki z tej opery, rozbudził niecodzienne zainteresowanie wśród publiczności — a na sali rozentuzjazmował ją, a nawet wywołał nie rzadko łzy serdecznego wzruszenia, w takiej muzycznej oprawie i w takim wykonaniu dawno nie mieliśmy sposobności jej słuchać. Tak rutynowani śpiewacy operowi, jak i młodzi adepci tej sztuki starali się wydobyć ze siebie maksimum swych zdolności, aby to piękne dzieło jak najlepiej, chociaż estradowo, wypadło.



Znakomity tenor Józef Woliński.

Fot. Archiwum

Znakomite filary głosowe opery: p. Fr. Platówna (sopran) i p. J. Woliński (tenor) mieli sposobność na nowo przedstawić swoje walory głosowe, swoją ekspresję muzyczną przez doskonałą technikę głosową, odczucie wyrazu dramatycznego i oddania go w swoistej interpretacji Halki i Jontka. Szlachetność głosu i piękne wykonanie oczarowały wszystkich.

Młodzi wykonawcy wywiązali się też bardzo dobrze z powierzonych im partyj solowych. Pani M. Twardówna — Morbitzerowa, którą po raz pierwszy w czasie lat wojennych usłyszeliśmy na estradzie w partii Zofii i Halki (z IV aktu) przedstawia bardzo dobry materiał lirycznego sopranu, subtelnego w oddawaniu nuansów nastrojowych i wyrównanego w swej barwie i ekspresji.

Janusz — A. Wolak świetnie jej sekundował swym młodzieńczym, soczystym barytonem, którego siłę, skalę głosową i odczucie w interpretacji, mieliśmy już nieraz sposobność podziwiać.

Po raz pierwszy też dał się słyszeć na estradzie p. W. Geiger. Jako bas — baryton o szerokiej skali głosowej, wyrównanej barwie i czystości intonacyj wypadł nawet w tej skromnej partii Stolnika — doskonale.

Tercet wyszedł na tle potężnej orkiestry nieco za słabo, chociaż świetnie tak nad orkiestrą jak i solistami panował dyrygent p. R. Erb, wczuwając się w interpretację poszczególnych solistów, jak również w charakter tanecznych części „Halki". Wykonanie dziarskiego „mazura" — tej prawdziwej perły muzyki Moniuszkowskiej, w tym zespole orkiestralnym i z tym temperamentem balansującego dyrygenta zasługuje na szczególne podkreślenie. Toteż publiczność wpadła w prawdziwy szał — nogi same drgały odruchowo a u starszych wywołało łzy ze wspomnień i wzruszenia. Niemilknące brawa i okrzyki zmusiły dyrygenta do powtórzenia „mazura". Szkoda tylko, że nie mógł być również (prawdopodobnie ze względów technicznych) wykonany „polonez" z chórem męskim.

Tak dyrygent z orkiestrą — jak i poszczególni soliści otrzymali zasłużone, entuzjastyczne brawa i kosze pięknych kwiatów.

Powtórzenie koncertu odbędzie się dnia 25 czerwca b. r.

Dr M. Żeczkowski

KONCERT KLARNETOWY

Sobotni koncert w Niebieskiej Sali Filharmonii był czymś więcej niż miłą rozrywką, czymś więcej nawet, niż oczekiwaną siestą muzyczną. Stanowił on prawdziwą niespodziankę dla miłośników muzyki instrumentalnej. Obydwaj wykonawcy pp. Józef Madeja — klarnecista i Jerzy Gaczek — pianista, nie tylko stanęli na wysokości zakreślonego sobie zadania, ale też każdy z nich stanowił atrakcję wieczoru.

Program złożony starannie pozwolił artystom wykazać ich niepoślednie walory. Na początku usłyszeliśmy II część kwintetu klarnetowego Mozarta. Jak doskonale p. Madeja odtwarza utwory Mozarta wiemy nie od dziś. Kraków pamięta dobrze koncert A-dur tego mistrza wiedeńskiego, wykonany ponad 10 lat temu przez p. Madeję z tow. Krakowskiej Orkiestry Symfonicznej. W muzyce Mozarta tkwi wiecznie żywy czar, słodkiej szlachetnej linii melodyjnej, której dominantę tworzą cechy dynamiczne, a zwłaszcza subtelne pianissima. A w tym właśnie celuje talent i poziom wirtuozostwa p. Madeji. Ledwo dosłyszalne, a przecież dźwięczne piana muszą zadowalać najwybredniejszego znawcę. W następnym utworze (Debussy—Rapsodia) wykazał p. Madeja niepospolitą, błyskotliwą technikę i gruntowną znajomość odtwarzania muzyki nowszej. Następne dwa krótkie, lecz barwne „Obrazy muzyczne", będące utworem wykonawcy, wzbudziły na widowni gorący poklask, który swój szczyt osiągnął po wykonaniu koncertu B-dur Kurpińskiego, zmuszając artystę do powtórzenia fragmentu tegoż utworu. W tej kompozycji, zbliżonej nieco stylem twórczym do Mozarta, talent techniczny p. Madeji zabłysnął w pełni. Kadencja koncertu złożona z pasaży, dzięki nadzwyczajnemu tempu sprawiała chwilami wrażenie gry akordowej. P. Madeja udowodnił nam znowu, że klarnet jest instrumentem pięknym i równorzędnym z innymi.



Niezrównany klarnecista Józef Madeja i pianista Jerzy Gaczek.

Fot. Borek

P. Jerzy Gaczek, który w czasie wojny dał się słyszeć wyłącznie (i pochlebnie) jako szopenista, wykonał tym razem dwa utwory odległe wiekiem, lecz duchem pokrewne. Zarówno w fundamentalnym dla literatury fortepianowej dziełem Bacha (Toccata i fuga d-moll), jak i w potężnym wzlocie ducha mistyka francuskiego Cezara Francka (Preludium, arie i finał), p. Gaczek wykazał jędrnym tonem i plastycznym ujęciem tematów, że należy do pianistów wysokiej klasy. W niedocenianej, a tak trudnej roli akompaniatora uzyskał p. Gaczek pełny wynik artystyczny.

Jot.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

ROZRYWKI UMYSŁOWE

PRZEKŁADANKA
ul. L. GUZ z Warszawy



Znaczenie wyrazów: 1. oprawa obrazu zdrobn. 2. owad, 3. zwierzę domowe, 4. forma literacka, 5. rogowy utwór na końcu palca kończyny zwierzęcia, 6. gospodarz góralski, 7. „olbrzym" w jęz. angielskim, 8. pęd powietrza, 9. dopływ Odry, 10. postać z rewolucji francuskiej, 11. owad, 12. kraj nad Bałtykiem.

Rząd poziomy, zaznaczony podwójnymi kratkami, da nazwisko znanego kompozytora muzycznego.

Rząd środkowy: „Mozart".

LOGOGRYF ZGŁOSKOWY
ul.: As.

Sto, zum, o, lot, po, bój, lu, pol, ki, a, ma, ar, pan, ne, o, ko, drach, le, dhi, zu, ka, o, nis, rio, u, ro, gan, a, po.

Ze zgłosek powyższych utworzyć wyrazy o znaczeniu:

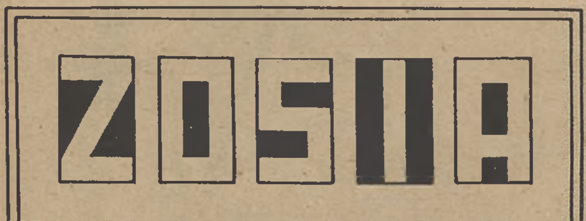
1. ptak zamieszkujący Nową Gwineę i Australię,
2. poeta włoski,
3. zdolność ujmowania stosunków logicznych,
4. miasto na Śląsku położone nad Odrą,
5. teren do startowania i lądowania samolotów,
6. przywódca ruchu narodowo hinduskiego,
7. instrument,
8. jedna z wysp w grupie Samoa,
9. miasto we Włoszech,
10. obuwie skórzane rzemykami do nóg przywiązane,
11. starogrecka moneta srebrna.

Pierwsze litery tych słów dadzą imię i nazwisko sławnego kompozytora włoskiego, ostatnie nazwę jednej z jego oper.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NR. 21
Siatka tenisowa

1. Baku, 2. okno, 3. doba, 4. wata, 5. Ądua, 6. urna, 7. ogar, 8. dług, 9 tłok, 10. kora.

Budowanie liter



Pewien pisarz był zaproszony ze swoją młodą żoną na wieczór. Na przyjęciu podchodzi do niego jego znajomy:
— Suknia twojej żony to istny poemat.
— Nie, mój kochany — odpowiada pisarz — to pięć poematów i dwie nowelki.

*

— Jak się mąż pani czuje w domu zdrowia?
— O, bardzo dobrze! Ma śliczny pokój, dobre jedzenie i bardzo się dobrze z nim obchodzą.
— To doskonale! A czy on naprawdę zwariował?
— Teraz już naprawdę! Niech pani sobie wyobrazi, on chce stamtąd wyjść.

*

— Dzień dobry, łaskawej pani, jak się ma mąż pani?
— Ależ panie profesorze, nie jestem przecież wcale mężatką.
— Słusznie, słusznie. Zapomniałem, że mąż pani jest jeszcze kawalerem.

*

Pewien młodzieniec wpada wściekły do biura pośrednictwa małżeństw:
— Przyrzekł pan zapoznać mnie z trzydziestoletnią wdową, a teraz odkryłem, ze ma ona 53 lata. Jak pan może tak oszukiwać klientów!
Właściciel biura matrymonialnego uśmiecha się:
— Ależ wcale pana nie oszukałem, łaskawy panie. Przecież ta dama została naprawdę przed trzydziestu laty wdową.

*

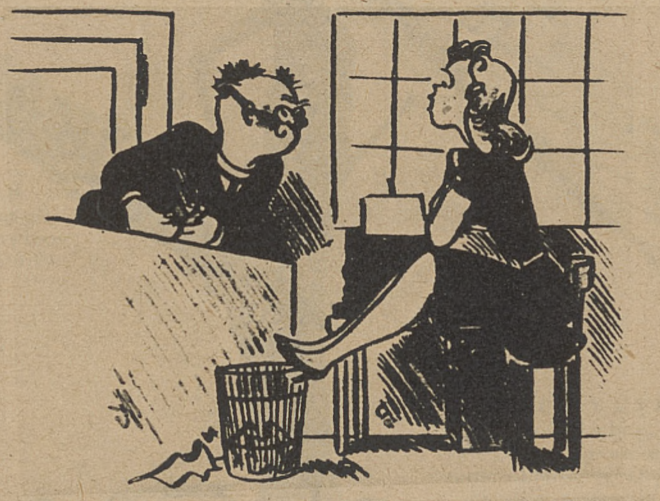
Jakieś pismo zagraniczne urządziło ankietę na temat: „Jakie książki pomogły Panu (i) najwięcej w życiu", na co jedna z odpowiedzi brzmiała: „Książka kucharska mojej matki i książeczka czekowa mojego ojca".

*

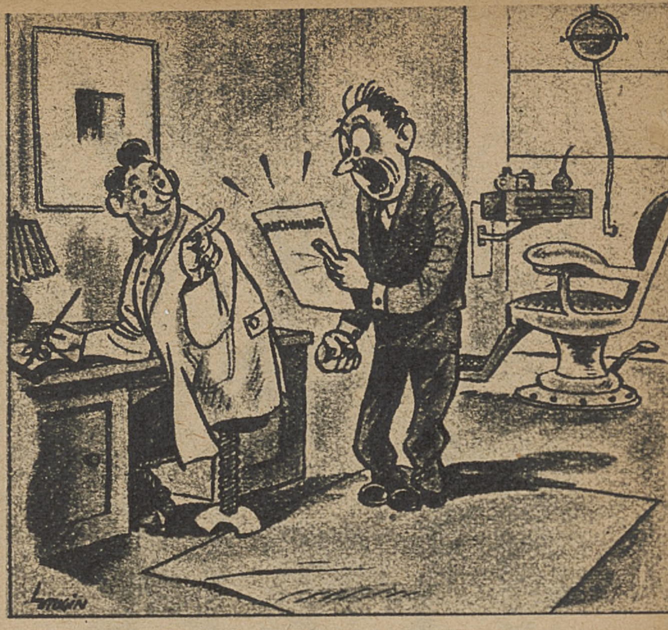
Nauczyciel: — No, Piotrusiu, dlaczego nie byłeś wczoraj w szkole?
Uczeń: — Babcia i mama wyjechały na imieniny do cioci, a gdy już ich w domu nie było, ojciec powiedział do mnie: „no, mój chłopcze, dziś mamy prawdziwe święto".

*

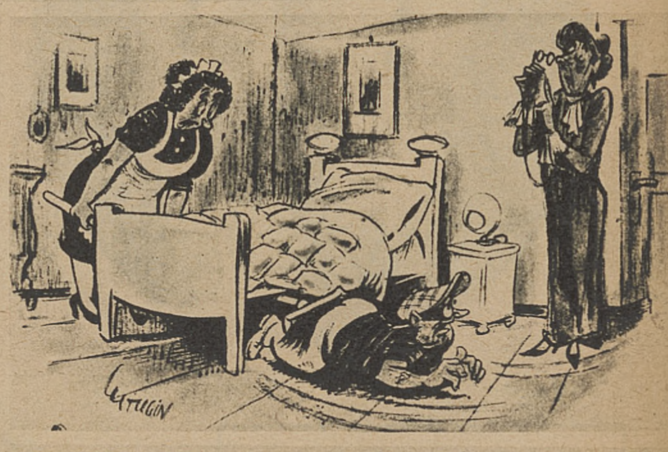
Starsza panna przyglądając się rybakowi łowiącemu ryby mówi:
— Czy pan nie traci cierpliwości, kiedy tak długo siedzi i czeka, a żadna rybka nie chwyta się na przynętę?
— Nie — odpowiada rybak — a pani?



— Widzisz Władziu, rezygnuję już z posady.
— O jaka szkoda! Tak pięknej i powabnej sekretarki nie prędko znajdzie nasz szef.
— Oczywiście, już ja się o to postaram! Wychodzę bowiem za niego zamąż.
Das Illustrierte Blatt



Dentysta: — Oto rachunek.
Pacjent: Aaaach!!!
Dentysta: — Oooo! Tak właśnie powinien pan był otworzyć usta podczas plombowania zęba.
Rys. Lutugin



— Widzisz Kaziu, do czego to doprowadza, że ty zapominasz codziennie zamiatać pod łóżkiem.
Die Woche

Nauczyciel: Słuchaj Kaziu, twój ojciec daje matce pięćdziesiąt złotych, następnie odbiera z powrotem dziesięć złotych, co matce wtedy pozostaje?
— Zrobienie strasznej awantury domowej.

*

Młodzieniec (do kelnerki mającej rude włosy):
— Niech pani nie podchodzi do mnie zbyt blisko, bym się nie zapalił.
— Niech pan się nie lęka, odpowiada ona, zbyt wielkim jest pan żółtodzióbem aby się palić.

*

Wymień jakiś przeźroczysty przedmiot — mówi nauczyciel.
— Okno — odpowiada uczeń.
— Dobrze, a jeszcze coś bardziej przeźroczystego?
— Otwarte okno.



„ZAPAŚNICY"
OBRAZ ZOFII STRYJEŃSKIEJ

W szponach namiętności



Na lewo:
NIEBEZPIECZNA PIĘKNOŚĆ
Smukła i pełna jakiejś dziwnej elegancji jest modliszka (Mantis religiosa). Oczy jej wielkie i błyszczące spoglądają zimno, a jej „twarz" jak prawie u wszystkich owadów jest stężałą, nieruchomą maską, na której darmo szukać śladów jakiegoś uczucia.

Poniżej:
ZALOTY
Ostrożnie i powoli — jakby już swój los przeczuwał — zbliża się zakochany samczyk do samiczki, która siedzi w zagłębieniu gałązki drzewa. Na zdjęciu widzimy wyraźnie, że samiczka jest większą i silniejszą niż samczyk.

Fot. Dr. Schmidt-Schaumburg



Świat owadzi na ogół mało znany, przedstawia w swej różnorodności niezwykle bogate pole dla obserwacji i refleksji. Poza wzorowo zorganizowanymi społeczeństwami mrówek i pszczół, poprzez całą skalę niezwykle ciekawych typów, napotykamy osobniki w okrucieństwie przechodzące najdziksze ssaki. Do najdrapieżniejszych owadów należy modliszka. Prawie groteskowy jest kontrast między niewinnym wyglądem tego owada z wzniesionymi ku niebu pobożnie przednimi odnóżami, a okrutnym, krwiożerczym jego charakterem. Poruszając się niezwykle powoli drapieżnik ten potrafi godzinami całymi czyhać na swą ofiarę. Długie jak szczypce przednie nogi modliszki, sterczą w powietrzu wciąż bez najmniejszego ruchu, jak gdyby straszliwe kolce zanosiły upiorną modlitwę o śmierć i pożarcie ofiary. Owa pobożna mina jest czystym złudzeniem, gdyż ku niebu wzniesione ręce są w rzeczywistości straszliwymi narzędziami chwytnymi, które błyskawicznie chwytają zdobycz



Na lewo:
TAK SIĘ KOŃCZY MIŁOŚĆ!
Po skończonych „godach weselnych" samiczka uchwyciła swego oblubieńca w „pazury" i poczyna go niemiłosiernie i z nieubłaganą srogością pożerać.



Na prawo:
NA ZGLISZCZACH MIŁOŚCI POWSTAJE NOWE ŻYCIE
Na gałązce drzewa składa modliszka swoje jaja, z których wkrótce wylęgną się młode.



Poniżej:
ŻAŁOSNE RESZTKI
Części nie do spożycia: skrzydła, głowa i nogi — to jest wszystko, co z „miłosnej przygody" pozostało.

i wciskają w ostre, miażdżące szczęki. Bardzo po macoszemu potraktowała przyroda samczyki tej rodziny, które natychmiast po godach weselnych zostają zjedzone przez zapłodnione silniejsze od nich samiczki. Może winna jest temu bujność, niezwykła rozrodczość i szał życia puszczy podzwotnikowej — ojczyzny modliszki, gdzie się kocha nad miarę i pożera doszczętnie. Na zakończenie „godów weselnych" panna młoda, gdy już zdobyła całkowicie nieśmiałego, filigranowego samczyka, chwyta go w swe objęcia i bezlitośnie pożera. Niezmordowanie pracujące szczęki zabijają oblubieńca, miażdżą jego ciało, które znika szybko w nienasyconym żołądku swojej małżonki i tylko nieliczne, niedające się strawić części zostają odrzucone; to jest wszystko co zostaje po weselu z pięknego pana młodego. Trzeba przyznać, że jest to jednak niezawodny i radykalny środek na niewierność małżeńską. Te bezlitosne, krwiożercze owady nie znoszą również pokrewnych gatunków w swoim pobliżu. Skoro tylko napotka modliszka jakiś owad, wywiązuje się zaraz między nimi walka na śmierć i życie, a pokonany owad zostaje na znak zwycięstwa zjedzony przez silniejszego. W dwa tygodnie po godach weselnych składa samiczka modliszki pierwsze jaja owinięte kokonem. W tym celu mocno czepia się owad gałązek drzewa zwisając głową na dół i wypuszcza z siebie przy gwałtownych ruchach tylnej części ciała kupkę piany, która najpierw jest białą, później brunatnieje i twardnieje. W tej masie leżą jaja aż do wykłucia się larw, dobrze chronione przed szkodliwymi wpływami zewnętrznymi.